



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAL

JERZY SWOBODA.

17

(Ciąg dalszy).

— Ryszarda? Mego syna?
— Nie wiem, czy on synem pani — uśmiechnęła się — ale muszę go widzieć.
— Panie Alfredzie — zwróciła się do jednego z młodzieńców — poprosz pan Ryszarda.
— W tej chwili.

Wszedł jasny blondyn, lat trzydziestu kilku, w czarnym angielezie, ubrany bez zarzutu, z łagodną twarzą, z marzącymi oczyma i bez pośpiechu, lecz ze zdziwieniem spojrzął na Helenę, skłonił się, mówiąc:

— Jestem Ryszard. Czy pani mnie szuka?
— Prawdopodobnie... przyjeżdżam od pana Pawła do pana.

— Od Pawła? — zawołał rozpromieniony. — A, droga pani, jakżeż to dobrze — pochwycił jej rękę i ścisnął. — Proszę do salonu, nie, do pokoju... Mamo! Ta pani, to mój najmilszy gość — i wiodł ją za rękę do pokoju na prawo.

Gdy znaleźli się sami, przemówił bardzo serdecznie:

— Jest pani u siebie, rozporządzaj pani.
— Przywiozłam odezwy.
— Odezwy?! Dawaj pani... nareszcie zdecydowali się... Gdzie są?
— Niech mnie pan zostawi samą, muszę je wyjąć.

— Zaraz... a Pawła dawno widziała pani? Ostatni list miałem ze Szwajcaryi.

— Wczoraj... przed wieczorem.
— A dziś pani tutaj?! Dzielna kobieta z pani... Zostawiam panią — i przymknął drzwi za sobą. W przyległym pokoju czekała na niego matka zaniepokojona.

— Ryszardzie, co to za dziewczyna? Skąd przychodzisz do tej znajomości, kto ten pan Paweł?

— Wszystko w porządku, moja mam... to emsaryu zka, mam... idzie o Polskę!

— O Polskę?... Ach, Ryszardzie, tak się boje o ciebie... znów się mieszasz?

— Obowiązek, mam, i koniec.

— To prawda, mój synu — westchnęła — ale jaka ona dzielna... bardzo kochana i dobra... musimy ją ugościć, przyjąć... pewnie zmęczona, czy ona wprost jedzie?

— Tak, mam, dziś wyjechała z zagranicy.

— Że też musiała na zabawę trafić; gdzie ją ją ułożę?

— To mamy rzecz — uśmiechnął się.

— A co ona tam robi? — wskazała na pokój.

— Przebiera się.

— Jakto?

— No, wyjmuję przesyłkę.

— Może jej pomódz?

— Nie, mam... ona młoda.

— I dosyć ładna — dodała matka.

Drzwi otworzyły się i prawie wbiegła młoda panna, blondynka, w jasnej fularowej sukni.

— Mamo, Ryszardzie, co się stało? Ktoś przyjechał? Jakaś nadzwyczajna osoba.

— Cicho, Broniu — wskazała matka na drzwi — dowiesz się później, idź teraz do gości.

— Już wiem... Domyślam się, Ryszardzie, czy to od niego? — spojrzała bratu w oczy.

— Tak jest — skinął głową.

— Idź już, Broniu.

— Niema mnie — wyszła szybko.

Helena uchyliła drzwi i rzekła:

— Już, proszę pana — a gdy wszedł — ta paczka była do Zawiercia, ale nie mogłam doreczyć i pan Paweł polecił panu oddać.

— A... wiem, że też on, urzędnik kolejowy i spóźnił się.

— Nie dojrzał mnie, bo spodziewał się mężczyzny... dopiero w ostatniej chwili, ale było już zapóźno.

— Dobrze... odeślę mu... A zapewne ta paczka dla mnie... Najpierw ukryję te skarby — schował starannie do skrytki biurka — a teraz poproszę was do jadalnego pokoju... tam pewno już przygotowano.

— Dziękuję wam, ale muszę iść natychmiast — ubierała się w paltocik.

— Wolne żarty — zaśmiał się — ani mi się śni. Paweł zwymyślałby mnie od ostatniego, że was w nocy puściłem. Gniewajcie się, nie gniewajcie się, ale nie puszczę — stanął w drzwiach.

— Upewniam was, że muszę iść... oczekuje mnie kolega.

— Jaki kolega? Co za kolega? To jakieś wymysły, byle nas opuścić.

— Czekaj na dole, w dorożce, mój kolega z uniwersytetu, który wczoraj przewoził książki.

— A do mnie niema?

— Nie.

— Ach, ten Paweł; ale poznaę go, on zaprzęgnąłby do roboty wszystkich, byleby tylko mógł. A co do kolegi, to rzecz załatwiona, rozbierajcie się z paltocika, odłóżcie kapelusze, zaraz go tu wprowadzę.

— Nie, nie... on nie zechce.

— Już go namówię, od tego jestem agitator i jeszcze czegoś brakowało, aby mnie towarzyszy nie posłuchał — i przymknawszy drzwi, szybko wyszedł.

Zbiegł ze schodów, a widząc Walczaka, stojącego tuż przy dorożce:

— Witajcie towarzyszu broni — podał rękę — dopiero dowiedziałem się, że czekacie na dole. Zapraszam was do siebie.

— Dziękuję, ale muszę jechać dalej, nie mogę korzystać z waszej gościnności.

— Gdzieś zjeść musicie, chodźcie!

— Nie, dziękuję. Jeśli koleżanka zostaje, oddajcie jej kuferek — podał.

— Zabieram kuferek, ale i was — a widząc jego opór — słuchajcie towarzyszu, jestem setnikiem, rozumiecie, zatem słuchać i milczeć — zaśmiał się.

— Kiedy każecie, to inna rzecz — zdecydował się Walczak iść, gdyż żał mu się zrobiło, iż z Heleną nie wróci.

Zabrał swój kuferek, a gdy byli na schodach:

— Jak Paweł wygląda? Zdrowszy?

— Zdaje mi się, że zdrowszy.

— On z cytadeli wyniósł reumatyzm i cierpi na oczy.

— Nie skarżył się.

— Dużo mieliście broszur?

— Tak sobie... dosyć.

— Że też nie dał mi żadnej — westchnął z żalem.

— Mam kilka przy sobie, wziąłem od przypadku, jeśli chcecie...

— Jeśli chcę? — zaśmiał się — ależ mnie męczą dziesiętnicy, dawajcie wzystkie... a to niespodzianka! To skarby dla mnie.

— Dosyć tanie — uśmiechnął się Walczak.

— Jak to widać Galileusza; nie rozumiecie położenia i to, co dla was chleb powszedni, dla nas niezem marcypani.

Wprowadził go do pokoju, w którym siedziała Helena i mówił:

— A co?... nie tylko przyszedł towarzysz, ale jest i kuferek... teraz rozgoście się... a jak mam was nazwać?

— Helena.

— Stanisław.

— Panno Heleno, a wy na jakim wydziale?

— I ja i kolega jesteśmy na filozoficznym, ja studuję chemię, a kolega nauki przyrodnicze.

— To przydadcie się nam do robienia bomb — zaśmiał się — za chwilę będę.

Gdy zostali sami, rzekł Walczak z cichym wyrzutem:

— Dlaczego zostaliście tutaj?

— A wy dlaczego? — uśmiechnęła się.

Już chciał powiedzieć, że dla niej i przez nią, ale wstrzymał się i po chwili:

— Tak usilnie prosił... no i wy byliście już tutaj... uległem.

— I ja również... Zresztą będziemy tu chwilę tylko... u nich dzisiaj tańce. Miałam zabawną rozmowę z dwoma wyfrakowanymi młodzieńcami, po prostu nie chcieli mnie dopuścić do pana Ryszarda — śmiała się.

— A chciałem was wyręczyć.

— Nie żałuję wcale, że poszłam sama.

W tej chwili wszedł Ryszard i zos awiając za sobą drzwi otworzył:

— Proszę was na przekąskę tymczasem... za godzinę będzie kolacja.

Weszli do pokoju jadalnego, w którym był długi stół z wielką liczbą nakręć, do kolacji przygotowanych, a z boku mniejszy stolik, przy którym stała, porządkując nakrycia, matka Ryszarda.

— Moja matka... panna Helena... pan Stanisław... nasi ukochani, mam.

— Wiem... sadajcie moi drodzy goście, tu panno Heleno, będzie wygodniej... nabierajcie, jedzcie... pewno zmęczeni jesteście.

— Dziękuję pani... ja prawie nic nie jestem zmęczona, dziś o ósmej rano wyjechałam, ale kolega... ale pan Stanisław od wczoraj wieczorem jest w drodze.

— Zapominacie koleżankę... panno Heleno, że jestem silny i mężczyzna, o zmęczeniu mowy niema.

— Szczęśliwa młodość — uśmiechnęła się —